

jakiegokolwiek w usposobieniu ojca, w jego codziennych przyzwyczajeniach?

— Owszem! — odpowiedziała Michalina, nie myślając się. — Ojciec mój posiadał usposobienie bardzo równe i pogodne. W ostatnich czasach spostrzegłam, że był często roztargniony i zdenerwowany.

— Czy może mi pani określić, od jakiego czasu datuje się ta zmiana?

— Od ostatnich kilku dni. Ale co jest szczególniejsze — dodała młoda dziewczyna po chwili — że przedtem właśnie, na jakie dwa lub trzy tygodnie, wydał mi się bardzo wesoły i ożywiony.

— To jest bardzo cenna wskazówka dla mnie — zauważył Bernac. — A czy może sobie pani wytłumaczyć lub zrozumieć przyczynę, która wywołała najprzód to zadowolenie, a następnie roztargnienie zaobserwowane przez panią?

— Nie. Jak panu wiadomo, ojciec mój nie lubiał wtajemniczać mnie w swoje sprawy urzędowe i nawet przyzwyczaił mnie do tego, że się nigdy o nic w tym zakresie nie zapytywałam. I wówczas, kiedy zaniepokojona jego przynębeniem, ośmieliłam się zapytać o przyczynę, odpowiedział mi dosyć szorstko: „To nic, nie myśl o tem!” Nie należałam więc, nie chcąc go bardziej jeszcze rozdrażniać.

— A jednak gdybyśmy dziś wiedzieć mogli...

— Panie Bernac! — przerwała nagle Michalina — Czy przypuszcza pan, że zniknięcie ojca spowodowane jest motywem natury finansowej?

— Z wszelką pewnością, nie! Mówiłem w tej sprawie z panem Delong, który jest człowiekiem zaufania ojca pani, a przytem rozumny jest i prawy. Twierdził, że nigdy jeszcze interesa banku pana Versigny, jakoteż Towarzystwa kopalnianego, nie rozwijały się tak pomyślnie. A o jakichś ukrytych stratach czy porażkach nawet mowy być nie może, gdyż to by się nie udało ukryć.

— Nie wiem dlaczego, ale wolałabym, żeby tak było — rzekła Michalina — Mielibyśmy w rękach dowód jakiś, na którym moglibyśmy budować dalsze przypuszczenia.

Długą chwilę Bernac milczał, zatopiony w głębokich rozmyśleniach, nie zdając się nawet zwracać uwagi na obecność młodej dziewczyny.

— Powróćmy jednak do dnia wczorajszego — odezwał się wkońcu. — Czy pan Versigny wychodził rano z domu?

— Wychodził, tak jak zazwyczaj. Odbyliśmy razem krótką przejażdżkę konno i powróciliśmy po godzinie dziewiętej. Ojciec udał się do swojego pokoju, gdzie zmienił ubranie i zaraz potem wyszedł.

— Czy pani wie, gdzie się udał?

— Nie. Zwykle rano, wychodząc za swoimi interesami, nie używał samochodu.

— Czy powrócił na śniadanie o zwykłej godzinie?

— Tak.

— A podczas śniadania nie zaszło nic szczególnego, co zwróciło uwagę pani?

— Nie... Wzywano go tylko do telefonu.

— Kto to był?

— Nie wiem niestety. Dzwonek odezwał się w tym pokoju właśnie, gdzie siedzieliśmy, obok sali jadalnej. Służący wyszedł był właśnie do kuchni, więc miss Hopkins, która właśnie znajdowała się bliżej drzwi, wstała i pobiegła podjąć słuchawkę. Powróciła za chwilę mówiąc, że osoba, która wzywa bankiera Versigny, nie chce wymienić swojego nazwiska.

— Oh! To jest dosyć ważne! I ojciec pani zgodził się na rozmowę?

— Tak. Przyznaję, że mnie to zadziwiło trochę. Sądziłam, że nie zechce się fatygować dla osoby nieznanego. Ale on, po krótkiej chwili wahania, powstał i udał się do drugiego pokoju.

— Czy słyszała pani, co mówił?

— Nie. Wychodząc, zamknął drzwi za sobą i powrócił bardzo prędko.

— Jak wyglądał, kiedy powrócił?

— Był tak samo niespokojny, jak przedtem. Ja zaś nie śmiałam go o nic zapytać.

— Co robił po śniadaniu?

— Kazał przygotować samochód na godzinę wpół do drugiej, lecz wychodząc zawołał szofera i powiedział mu, żeby był gotów na moje usługi.

W chwili, kiedy Michalina wymawiała te słowa, rozsunęła się nagle portyera, zakrywając drzwi i do pokoju weszła wolnym krokiem wysoka kobieta, czarno ubrana. Twarz jej bladą o regularnych rysach okalały dwa pasma siwych włosów. Oczy jej jasne, jakby wyblakłe, patrzyły badawczo i surowo. Była to miss Hopkins.

— Podeszła do młodego literata, nie okazując najmniejszego zdziwienia i wyciągnęła do niego rękę, mówiąc serdecznym głosem:

— Kochany panie Bernac, przeczuwałam od wczoraj, że pan do nas przyjdzie, że pan nas nie opuści w tem nieszczęściu, jakie spada na Michalinę. Człowiek tej miary, jak pan, może nam być bardzo użyteczny w rozświetleniu prawdy.

— Sądzę, że dokonam tego — odpowiedział grzecznie Bernac — W każdym razie przyznać muszę, że żadna sprawa nie zainteresowała mnie dotąd w ten sposób, co ta właśnie. Oddam się jej też całą duszą.

— Nie napróżno pan Versigny uważał pana jako najcenniejszego swojego przyjaciela.

Bernac skłonił się w milczeniu.

— Droga miss Hopkins! — odezwała się Michalina — Pan Bernac powiedział mi wiele ciekawych rzeczy i zadał mi kilka pytań dotyczących mojego ojca.

— A ty odpowiedziałaś na nie z całą szczerością, kochane dziecko?

— Tak jest! — odparł Bernac — Ale skoro złożyło się tak szczęśliwie, że i z panią pomówić mogę, miss Hopkins, pozwól mi pani zasięgnąć u niej informacji.

— Z całą przyjemnością, kochany panie.

Miss Hopkins zeznała więc, że podjąwszy telefoniczną rozmowę, przeznaczoną dla bankiera, zauważyła natychmiast, iż osoba rozmawiająca zmieniła dowolnie głos swój, gdyż brzmiał chrapliwie i nie naturalnie. Człowiek ten powiedział dosłownie: „Wzywam bankiera Versigny z polecenia pewnej osoby, która pragnie się z nim bezzwłocznie porozumieć w bardzo ważnej sprawie.

— Chciałbym się widzieć z wujem pani, panno Michalino — rzekł Bernac, kiedy miss Hopkins zamilkła. Czy pani dawno mówiła z panem Gerardem de Lambriere?

— Telefonowałam dziś rano do niego, na ulicę de Courcelles, skąd odpowiedziano mi, że pana de Lambriere już niema w domu od dni kilku, ale że oczekują jego przybycia w najbliższym czasie, nawet może dziś jeszcze. Prosiłam, żeby go natychmiast przysłano do mnie.

— Miss Hopkins spojrzała na zegarek.

— Jest już druga godzina — rzekła — Czy zyczysz sobie, Michalino, żebym się poinformowała o powrocie twojego wuja?

Młoda dziewczyna spojrzała pytająco na Bernaca.

— Ależ i owszem, miss Hopkins — odpowiedział tenże grzecznie.

Angielka zbliżyła się do aparatu i zażądała połączenia. Po chwili głos jakiś zadzwieczał i nagle Bernac ujrzał, jak miss Hopkins, blada i przerażona, wypuściła słuchawkę z ręki i bezwładnie usunęła się na fotel.

— Co się stało, miss Hopkins? Co się stało? — zawołał Bernac, przyskakując do niej i instynktownie odsuwając drżącą ręką Michalinę.

— Mój Boże! — szeptała Angielka z trudem chwytając powietrze — Mój Boże! To nie może być! To przecież jest okropne!

— Ale co takiego? Miss Hopkins! Proszę mówić. Co za wiadomość odebrała pani? Co się stało?

— Stało się... nie... nie... to niemożliwe... Michalino, bądź odważna, drogie dziecko... znaleziono pana de Lambriere powieszzonego w swoim salonie...

„Samobójstwo“ barona de Lambriere.

Pomimo zimnej krwi, która nigdy go nie opuszczała i wielkiego zasobu energii i silnej woli, wiadomość ta wyrwała okrzyk zdumienia z piersi Bernaca. A podczas, kiedy miss Hopkins z apoplektycznie czerwoną twarzą szeptała jakieś słowa bez związku i sensu — Michalina pozornie spokojna, powstrzymując tylko ręką silne bicie serca, wpatrzyła się przed siebie oczyma pełnymi zgrozy i smutku. Już teraz czuła dobrze, że żaden inny cios nie dotknie jej tak, jak niewytłumaczone zniknięcie ojca. Nieszczęście to, pierwsze i tak bolesne w jej życiu, zahartowało jej nerwy i duszę i uczyniło z dziecka prawie istotę dojrzałą, silną.

— Udamy się natychmiast na ulicę Courcelles, nieprawdaż panie Bernac? — przemówiła pierwsza spokojnym głosem.

— Co mówisz, Michalino? — zawołała przerażona miss Hopkins — My tam mamy pójść? I po co? Czy mogłybyśmy znieść widok tak okropny?

— Panno Michalino! — odpowiedział Bernac poważnie — Podziwiam zimną krew pani i siłę, ale miss Hopkins ma słuszość. Taki przerażający widok wstrząsnąć może najsilniejszym i najzdrowszym człowiekiem. Nie pozwolę, aby się pani narażała w ten sposób i udam się tam sam. Obiecuję pani, że dziś jeszcze wieczorem powrócę z potrze-

bnymi objaśnieniami. Przeczuwam, że będziemy zmuszeni porozumieć się w niejednej rzeczy.

— Niech więc pan idzie, panie Bernac. Czekać będę na powrót pana z niecierpliwością.

— Dzielną dziewczyna! — myślał Bernac, podczas kiedy automobil unosił go szybko w stronę mieszkania pana de Lambriere — Ale ta Angielka coś nie bardzo zaczyna mi się podobać. Może się uprzedzam, ale w oczach jej dzisiaj wyczytałem fałsz jakiś i jakby zaniepokojenie.

Kiedy Bernac przybył na ulicę Courcelles, zauważył przed domem, w którym mieszkał pan de Lambriere, grupę osób rozprawiających gorączkowo. Wieść o wydarzeniu musiała się już rozejść i sprowadziła ciekawych, żadnych silnych sensacji. Dwaj policyjanci stali w progu domu i z trudem bronili wstępu.

Bernac, wysiadłszy z samochodu, dał się im poznać i szedł już na czwarte piętro do mieszkania pana Lambriere, kiedy na schodach dogonił go pan Cambaux. Bernac spodziewał się go tu zastać. Wiadomość o samobójstwie pana de Lambriere musiała już dojść do szefa policyi, który wiedząc o pokrewieństwie, łączącym samobójcę z bankierem Versigny, musiał być silnie uderzony tym faktem. Cambaux przeczuwał napewno, że te dwie sprawy musiały mieć ze sobą łączność pewną i przybiegł natychmiast na ulicę Courcelles, spodziewając się również zastać już tam Bernaca.

Cambaux i Bernac dowiedzieli się natychmiast, że pierwszą osobą, która spostrzegła śmierć barona de Cambriere, był służący jego Felicjan, człowiek dobroniuszy i cichy.

Znalazł swojego pana, wiszącego na jedwabnym sznurze rannego szlafroka, przytwierdzonym do żyrandola u sufitu. Ponieważ sufit był bardzo wysoki, desperat musiał się posłużyć stołkiem, który leżał porzucony na podłodze. Według opowiadania służącego, pan de Lambriere wyjechał był przed kilkunastu dniami do Szwajcaryi i zwolnił go ze służby, aż do swojego powrotu.

Felicjan skorzystał chętnie z tego urlopu i odwiedził siostrę, zamieszkałą w Bordeaux. Powrócił stamtąd właśnie dnia tego rankiem, aby przygotować mieszkanie na przyjęcie pana de Lambriere.

Zaraz na wstępie, wchodząc do sypialnego pokoju, został uderzony niemiłe widokiem rozrzuconego łóżka, które odjeżdżając pozostawił w zupełnym porządku. Przed komodą stał otwarty kufer barona, napół wypróżniony z rzeczy. Widocznie pan de Lambriere skrocił swoją podróż. Felicjan czuł się trochę niezadowolonym, że nie przewidywał tego i nie powrócił wcześniej, aby przyjąć swojego pana za powrotem, ale wytłumaczył sobie, że nie było w tem jego winy, skoro otrzymał formalny urlop.

Z sypialnego pokoju udał się do salonu, gdzie ku przerażeniu swojemu ujrzał pana de Lambriere powieszzonego u sufitu i nie dającego już znaku życia. Miał on na sobie tylko nocną bieliznę.

— Musimy sprawdzić słowa tego człowieka i nieobecność jego kilkudniową w Paryżu — szepnął Cambaux do ucha Bernaca.

— Ma się rozumieć — odpowiedział Bernac — i uczynić to musimy jak najprędzej.

Badanie dozorców domu nie przyniosło żadnego poważniejszego rezultatu.

Byli tak przerażeni faktem, który miał miejsce w domu, strzeżonym przez nich od lat dwudziestu, że nie można ich było uspokoić i zmusić do spokojnego mówienia. Twierdzili tylko bez przerwy, że w domu tym mieszkali dotąd ludzie bez zarzutu, poważni i na stanowiskach, wybierani skrupulatnie przez właściciela i jeżeli ktoś tu umarł, co się nawet prawie wcale nie zdarzało, to porządną śmiercią, na własnym łóżku, bez rozgłosu i skandalu. Nie rozumieli więc, skąd panu baronowi de Lambriere przyjść mogła myśl podobna.

Od chwili więc, kiedy służący, odkrywając śmierć swojego pana, wpadł do ich łóży, wołając o ratunek, zacna para straciła zupełnie przytomność umysłu. Siedzieli oboje naprzeciw siebie, spoglądając z osłupieniem i zgrozą, nie śmiejąc wyjść, ani słowa przemówić.

Dzięki jednak cierpliwości swojej i łagodnej zręczności, Bernac po dłuższym czasie potrafił naprowadzić ich na drogę zeznań, zresztą nieważnych.

Dom posiadał przeszło trzydziestu lokatorów, nie licząc służby dosyć licznej. Naturalnie, że o wieczornej porze nie mogli rozpoznać każdego, przechodzącego obok ich łóży. Tej nocy szczególnie otwierali kilka razy bramę, ale że mogli to czynić za pomocą sprężyny, umieszczonej w ich mieszkaniu, bez potrzeby wychodzenia — więc wiedzieć nie mogli, czy pomiędzy wychodzącymi był i pan de Lambriere.

(Ciąg dalszy nastąpi).